ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.



Nr. 50. 12.XII.1936.

w numerze:

PIERWSZY ŚNIEG
W WARSZAWIE

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 50 12. XII. 1936

L. CHRZANOWSKI

DWIE STRONY „OKIENKA"

Nowa porcja.

Bolesna, przykra porcja!

W Janowie Lubelskim aresztowano naczelnika urzędu skarbowego.

W Białymstoku przed sądem stanął b. burmistrz Surarza oskarżony o przywłaszczenie pieniędzy miejskich.

Sąd wileński skazał b. komornika Stefana Wojciechowskiego na 6 lat więzienia i 10 lat pozbawienia praw za malwersacje, sięgające 13.000 złotych.

Sąd radomski skazał przewodniczącego i kasjera spółdzielczej kasy im. Stefczyka w Kuczkach na 3 lata więzienia za przywłaszczenie 10,700 zł.

Sąd w Stryju skazał kierownika rachuby Urzędu Skarbowego w Dolinie za sprzeniewierzenie depozytów skarbowych.

W Radzyminie wykryto nadużycia i fałszerstwa popełnione przez dwuch poborców podatkowych.

We Lwowie wykryto nadużycia w jednym z urzędów skarbowych.

Takie nadużycia zdarzają się w każdem wielkiem państwie. Są nieuniknione, o ile złe instykty natury ludzkiej nie trzymane są w karbach surowej kontroli służbowej i w ryzach przez czujną i niezależną opinję publiczną.

Zawsze pocieszającym objawem jest, gdy władze wkraczają, gdy sąd karze winnych, gdy społeczeństwo widzi, że ręka sprawiedliwości tępi zło, a nie zaciera.

Jeśli występek zagnieździ się wśród biurokracji trzeba chwasty wyplenić bezwzględnie, bezzwłocznie.

Każdy karzący wyrok na występnego biurokratę, to cegiełka praworządności państwowej, wzmagającej autorytet państwa.

W związku z ohydną aferą radomską domagaliśmy się specjalnej surowości dla występnych urzędników, mających kontakt ze skarbem, z podatnikiem. *Domagaliśmy się tego w imię autorytetu państwa.*

Bo masa ludności, szerokie rzesze społeczeństwa najbardziej bezpośredni kontakt jako z władzą, mają z urzędami skarbowemi, z władzami administracyjnemi.

Najmniejszy cień rzucony w tych urzędach przez jednego występnego, niezwykle łatwo wzrasta, wydłuża się i... bywa eksploatowany.

Dlatego to na te cienie trzeba rzucać jaknajwięcej światła.

Bo musimy stale i wytrwale dążyć, aby *„okienko"* znikło jako barjerka między urzędnikiem, a obywatelem - podatnikiem.

Po tej i tamtej stronie „okienka" muszą być tacy sami obywatele jednego i tego samego państwa, wspólnej ojczyzny.

Niestety, niezawsze tak bywa.

Obywatele - podatnicy przeważnie mają upośledzoną postać petentów. Obywatele podatnicy często są nerwowi, wybuchowi, a nawet źle wychowani. I niezawsze właściwie zachowują się z *tej* strony okienka.

Ale po *tamtej* stronie okienka— nie wolno odpowiadać im tem samem. Bo po *tamtej* stronie, to jest wybór. Selekcja. Ludzie przesiani przez sita wydziałów personalnych.

U nas nie bada się kto go rodzi, ale sprawdza się co umie, co robił. (Czasem, niestety, kto go popiera). Ale naogół dobór prowadzony jest szczegółowo, ściśle, surowo. Dlatego to urzędnicy dobrani, wybrani, przesiani — nie mają prawa do wyrozumiałości. Oni muszą pamiętać, że w wielu wypadkach są wychowawcami. Ludzkie, obywatelskie traktowanie „sprawy", opamiętuje często zaperzonego podatnika. Wytwarza nić porozumienia, prowadząc do tego, aby przy poszanowaniu interesu państwa, interes podatnika był traktowany jak pożyteczna, płodna, a nie zarzynana kura.

Zniknięcie *tej* i *tamtej* strony okienka, to wielkie, obywatelskie zagadnienie państwowe, które usprawni znakomicie naszą administrację i funkcjonowanie aparatu państwowego, ucząc jednocześnie wielu cnót szerokie masy.

Muszą zniknąć takie objawy, jak te, o których mówił mi z żalem jeden z b. ministrów, człowiek starszy, ceniony i poważany.

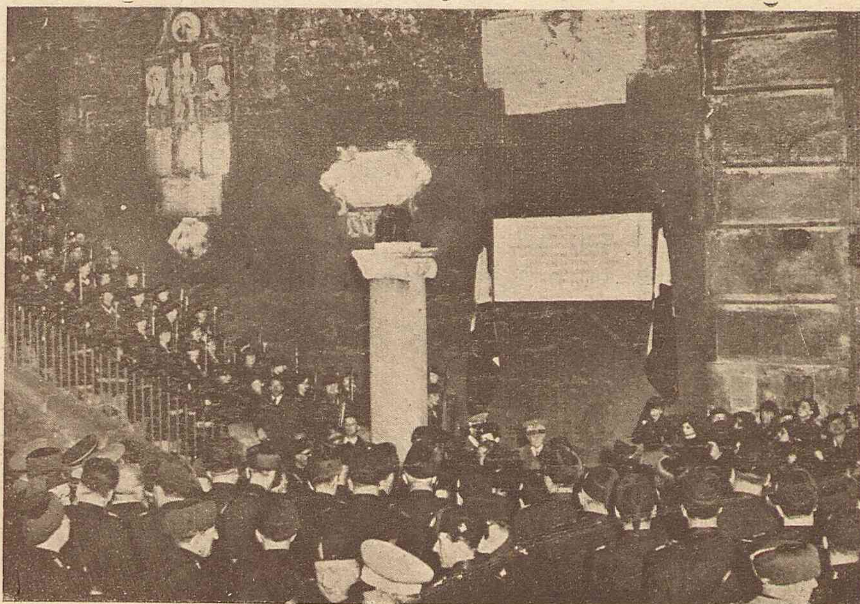
„Nie mogę zrozumieć — powiedział — dlaczego, kiedy jestem w jakimś urzędzie, a nigdy nie rekomenduję się przywilejami mych dawnych stanowisk, — to naczelnik urzędu, czy też wyższy referent przyjmuje mnie grzecznie, przyzwoicie, natomiast woźni lub kanceliści często są wyniośli i gburowaci".

Tak bywa istotnie często.

Ale, niestety, dla zwykłego obywatela tę właściwość opryskliwości mają często nietylko woźni.

Istnieje bowiem jeszcze olbrzymia rzesza urzędników, których należałoby pouczyć i przeszkolić — jak nie powinni mówić z podatnikiem, obywatelem takim samym, jak i oni.

PRZED OBJEKTYWEM „ŚWIATA"



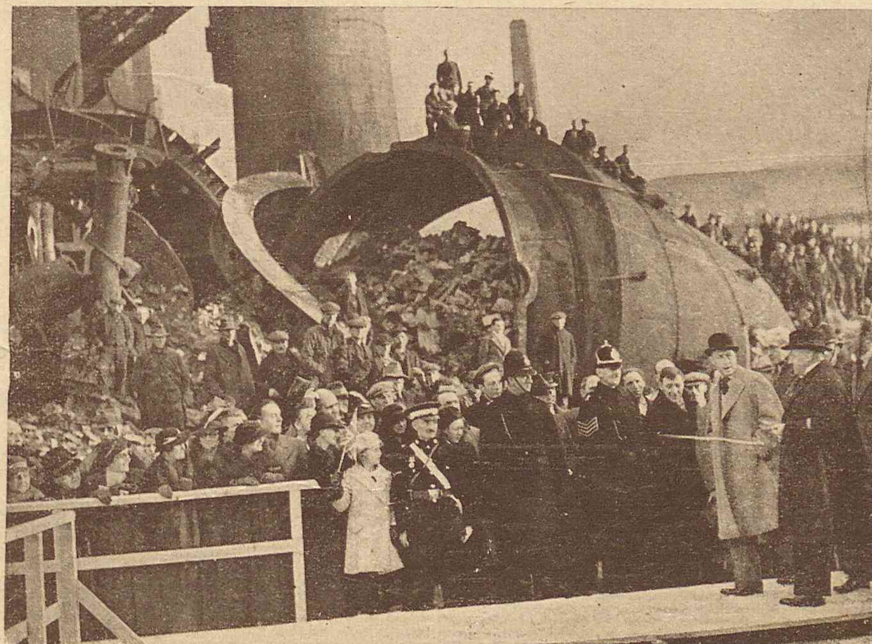
Zdjęcie obok:

Wmurowanie tablicy dla upamiętnienia sankcyj ekonomicznych przeciwko Włochom. Uroczystość przed murami Kapitolu w obecności dostojników państwowych i przedstawicieli krajów, które opowiedziały się przeciwko sankcjom



Zdjęcie obok:

Uczestnicy prezydjum Kongresu Reklamy na przyjęciu u min. Goebbels'a: p. Maillard, Paryż: senator Banelli, Włochy: prof. Zakrzewski, Polska; minister Goebbels.



Zdjęcie obok:

Król Edward w południowej Walji sprawdza rozmiary klęski bezrobocia. Król w towarzystwie ministra pracy Brown'a na tle zamkniętej huty stalowej, która niegdyś dawała pracę 9 tysiącom robotników

POŁÓW PEREŁ



„Małczał!“

Wiadomo, że „państwa totalne“ nie tolerują u siebie swobody prasy ani krytyki *w dziedzinie politycznej*. Jedyną dziedziną, w której społeczeństwo (np. włoskie) dawało upust swoim do niedawna jeszcze wcale mocnym nastrojom krytycznym, była dziedzina twórczości kulturalnej, naukowej, artystycznej. Kto był antyfaszystą — krytykował zajadle „wielkości“ artystyczne regimu. Chociażby dlatego właśnie, że były to wielkości — oficjalne.

I Mussolini tolerował ten stan rzeczy. Mussolini — człowiek południa, syn krainy nawskroś przesiąkniętej pięknem, syn ludu, który wydał setki i tysiące wielkich ludzi—obrazoburców— rozumiał, że *kaganiec* nałożony ludności w sprawach kultury i sztuki — to nie będzie napewno *„oświaty kaganiec“*. I tej śmieszności uniknął.

Niemcy, wiadomo — są rasą doszczętnie pozbawioną poczucia śmieszności.

Szczególniej śmieszności — własnej.

Oto więc, z jakiej kolubryny wystrzelił szef ich propagandy, min. Goebbels. Skasował — jednym zamachem — *wszelką krytykę sztuki*.

Tak, z dziś na jutro.

Bo było oczywiste, że miernoty i nędza, windowane przez reżym jako pseudo-wielkości, jednak u kulturalnej części społeczeństwa i u fachowych krytyków — nie znajdowały aprobaty.

Mówiono i pisano o nich — to, na co zasługiwały.

Od dziś — basta.

Krytyka została zniesiona. Krytyk sztuki ma dozwolony tylko *opis* dzieł sztuki, ale nie wolno mu wypowiedzieć żadnej uwagi o ich *wartości* artystycznej.

Jest to — pomijając śmieszność — najsromotniejsze odsłonięcie kart.

Wyznanie własnej niemocy.

Złotko na czarną godzinę

Przeszło dwa miljardy w złocie posiadał Bank Hiszpanji zanim zaczęła się bratobójcza walka.

Z tego przeszło 700 miljonów przezorni czerwoni rządowcy zdążyli już zdeponować we Francji i w Sowietach. Na wszelki wypadek.

Na imię narodu hiszpańskiego?

Na imię ojczyzny?

Na imię uciemiężonego proletarjatu hiszpańskiego?

E, nie przesadzajmy! Poprostu na imię trzech najwybitniejszych hiszpańskich przywódców czerwonych. O przyszłości trzeba myśleć przytomnie. I w porę.

Umarł zbrodniarz

Naogół nie mamy zwyczaju na tych szpaltach poświęcać śmierci zbrodniarzy ani jednego wiersza. Ale ten był wyjątkowy.

Od pół wieku celem *życia* tego człowieka — była *śmierć* innych ludzi. Nie pojedyńczych osobników, ale setek, tysięcy, miljonów.

Kiedy rzeź kończyła się w jednym punkcie globu, zbrodniarz natychmiast podsycał ją w innym. Rzucał przeciwko sobie całe narody. Na jego skinienie — pomniejsze polityczne płotki rozpętywały rewolucje, wojny, rzezie.

Ludzie musieli umierać — żeby on mógł żyć.

Mięso armatnie musiało ginąć miljonami — żeby jego armaty miały cel.

Ten ponury potwór, w swej bezmiernej chciwości skazujący miljony na zagładę — dziś nie żyje.

Umarł Bazyli Zacharow, najkrwawszy, najbezwzględniejszy handlarz broni wszystkich czasów. Niech mu ziemia będzie jak najcięższa...

Sztuka bez przesądów

Śliczne powiedzonko historyczne przypomniał w tych dniach znakomity rzeźbiarz Henryk Kuna w wywiadzie, udzielonym prasie czerwonej.

Paulina Bonaparte, piękna siostra Napoleona, pozowała do aktu słynnemu rzeźbiarzowi Canovie (zresztą zakochanemu w niej po uszy). Pozowała — naturalnie —nago. Nie miała się czego wstydzić: nieskalane piękno jej piersi było tak doskonałe, że do dnia dzisiejszego przechowywany jest w rzymskiem Muzeum Primoli ich odlew gipsowy, budząc podziw dla czystości linji i harmonji proporcji.

Płocha „Paulette“ nie uważała wcale, iżby pozowanie rzeźbiarzowi w tym stroju — a raczej w tym braku stroju — było czemś zdrożnem. Inaczej jednak myślały o tem różne starsze, a zwłaszcza brzydkie damy dworu, zgorszone taką dezynwolturą cesarskiej siostry. Jedna z nich nie wytrzymała i zapytała wreszcie: „Jak Wasza Wysokość może mu pozować *„tak“*?

— Nic wielkiego, odpowiedziała Paulina, u niego jest bardzo ciepło“.

Bidny dzieciak

Kto? Któżby, jak nie mała Shirley, ulubienica publiczności całego świata!

Uznano — że tyje. I że jej z tem „nie do twarzy“. I zabroniono małej słodyczy...

Każdy inny, najkrnąbrniejszy nawet bachor, matołkowaty, zasmarkany, nieznośny czy leniwy — w jakiejś chwili przecież zawsze dostanie od swej matki „coś dobrego“. No, ciastko, czekoladkę.

A ta mała, inteligentna, zdolna, ładna, miła i zarabiająca ciężką pracą sumy takie, o jakich ani ja ani ty, czytelniku, wogóle nie możemy nawet marzyć — ta mała właśnie zato jest ukarana. Odmówili jej tej odrobiny przyjemności.

Bidny mały robot.

Nieletni niewolnik XX wieku...

„Nie dręczyć niedźwiedzi"

Ale i ludzi także nie, w miarę możności.

Czytamy w „Kurjerze Czerwonym" list nieszczęśnika, który leczy się w Ubezpieczalni Społecznej. Ma cukrzycę. Lekarz przepisał mu 20 ampułek insuliny miesięcznie. Może myślicie, że mu te 20 ampułek wydają odrazu?

E, gdzietam! Raju na ziemi jeszcze niema.

Dostaje to — kapaniną. Każda recepta na dwie ampułki. Co 4 dni nowa wizyta u lekarza tylko poto, żeby znów zapisał to samo. Bo na cukrzycę, jako żywo, nic innego zapisać nie może.

„Nie dręczyć niedźwiedzi"?

Ach, nie dręczyć chorych ludzi, przedewszystkiem.

Proroctwo

Jeden z paryskich tygodników politycznych przypomina niedawny incydent w parlamencie hiszpańskim — kiedy ten parlament jeszcze funkcjonował. Premjerem był wówczas Azana, obecny prezydent republiki hiszpańskiej. Jeden z posłów wnosił właśnie interpelację z powodu bandyckiej napaści zamaskowanej szajki złoczyńców na jeden z banków w Madrycie. Żądając najsurowszego ukarania winnych, zapalony mówca wołał:

— W takim kraju jak Hiszpanja, gdzie panuje...

Na to premjer Azana porywczo:

— W Hiszpanji nikt nie panuje, proszę pana!

I po chwili — spokojniej:

...nawet anarchja.

— No to niedługo ją pan będzie miał, odciął się uparty poseł.

Jakoż — sprawdziło się.

Precz z kapitalistami!

No, dobrze. Precz. Póty tak wołano, póty zwłaszcza tych kapitalistów zgrabnie gnębiono podatkami, świadczeniami i szykanami — aż ich i wytrzebiono.

Czytamy, że w Pabjanicach, które były ośrodkiem produkcji jedwabiu na całą Polskę, większe fabryki poprostu — rozparcelowały się. Jak? Tak, zwyczajnie. Duży przedsiębiorca, właściciel, mając już po uszy wszystkiego, sprzedał po jednym swoje angielskie warsztaty tkackie poszczególnym swoim majstrom, chałupnikom, robotnikom, którzy teraz pracują na swój rachunek, dla tych samych klijentów, produkując te same towary.

Powiecie: „To znana bujda. Oszustwo. „Udawana sprzedaż".

Władze skarbowe myślały narazie takSamo, i nie chciały uznać nowego stanu rzeczy. Wkońcu się jednak przekonały — i zrozumiały. I już nie egzekwują od nowych drobnych posiadaczy starych zaległości podatkowych. Ale zażądały chociaż wykupywania świadectw przemysłowych, płacenia składek w ubezpieczalni.

No i cóż?

Nowi właściciele dowiedli, że są *chałupnikami*. Że pracują wyłącznie członkowie rodziny. Nie obowiązuje ich ani ubezpieczalnia, ani żadne podatki.

W ten oto sprytny sposób *urząd skarbowy zamordował przemysł*, z którego ciągnął zyski. Przysłowiowa gałąź, podpiłowana przez tego, który na niej siedział.

Żeby się to chociaż przydało jako memento na przyszłość...

Ale tak daleko nasze złudzenia nie sięgają.

Pal rozdaje wawrzyny

Możeby tak pomyślał o jakimś małym bobku dla twórcy tego uroczego wierszyka, wyłowionego w dziale ogłoszeń w jednym z pism prowincjonalnych.

UWAGA! PIĘKNE PANIE!
Zgrabna figurka i dobra linia traci
Jeśli je płaszcz od Samelsona nie wzbogaci
Nie pomoże Twej urodzie puder róż,
Lecz tylko z tej firmy płaszcz włóż!
A gdy Cię piękną zobaczy sąsiadka zachwycona
To powiedz: Mam płaszcz od Samelsona!
A zakład jego się w Piotrkowie mieści
Pod numerem 10-tym przy ul. Szewskiej.



„Panowie jadą"

Niedawno dygnitarz państwowy, *nie umiejący kierować samochodem*, spowodował krwawą katastrofę pod Gdynią, poranił sześć osób, rozbił na miazgę auto przyjaciela, sam znalazł śmierć.

Przed paru tygodniami dygnitarz kolejowy na kresach wschodnich, *sam kierując autem rządowem* spowodował ciężką katastrofę i rozbicie auta rządowego.

Przed paru dniami dygnitarz Funduszu Pracy w Galicji, *prowadząc sam auto rządowe*, spowodował ciężką katastrofę i auto rozbił na drobny mak.

Wczoraj konsul polski pod Wrocławiem, *prowadząc sam auto rządowe*, rozbił je „w puch i proch".

Istna epidemja.

Epidemja niedojdów, rwących się do tego, czego nie umieją.

Charakterystyczne: w każdej katastrofie *obok dygnitarza* — niedouczka siedział fachowiec — szofer. Więc nie „oszczędność" kierowała panami dygnitarzami. Tylko — poprostu chęć zabawki.

Motoryzacja — piękna rzecz. Wiem coś o tem, bom stary szofer, *i na własnem*, nie rządowem aucie, przejechałem kilkadziesiąt tysięcy kilometrów — bez szofera, bez najmniejszego wypadku i bez ofiar.

Każdemu wolno ryzykować życie — *własne*.

Każdemu wolno rozbić samochód — *własny*.

Ale *żadnemu* urzędnikowi państwowemu nie powinno być wolno rozbijać *rządowe* auta, które stanowi własność nie jego, ale twoją i moją, czytelniku. Bo za to rozbite auto *my* potem płacimy.

Że taki pan godzien jest współczucia, bo sam się przytem poranił?

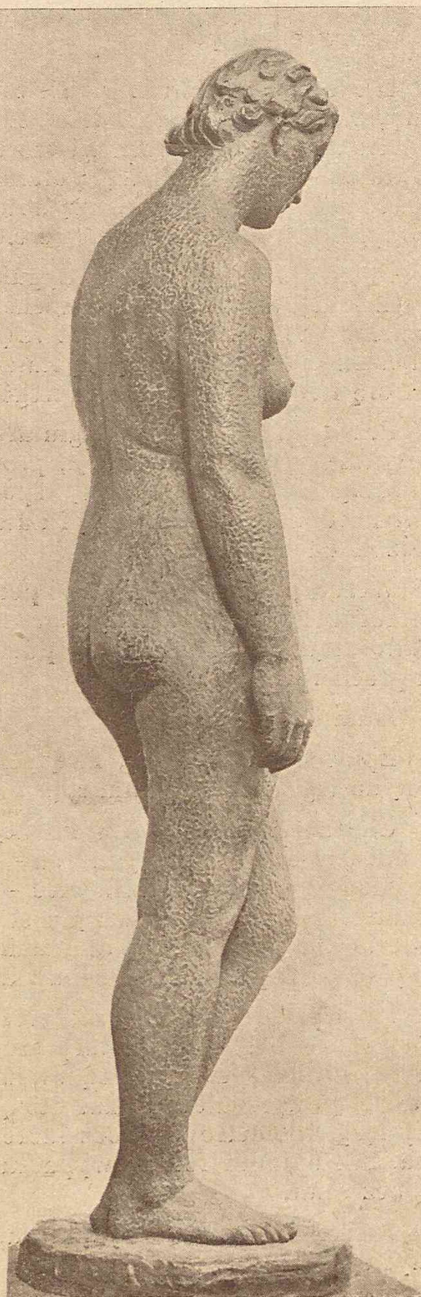
Nic podobnego. Jego kurację— i płatny urlop—także *nasza* kieszeń odczuje.

Panu Premjerowi pozwalamy sobie poddać pod życzliwą rozwagę projekt kategorycznego zabronienia urzędnikom państwowym prowadzenia samochodów *rządowych*. „Motoryzacja" od tej strony — to typowa anty-propaganda.

„Uparty Nurek".

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

WYSTAWA RZEŹB A. ZAMOYSKIEGO



A. Zamoyski. Kobieta stojąca (bronz na stracony wosk).

Hasłem naszego stulecia jest: „Tempo!".

Czyli, mówiąc wulgarniej: „Dużo, bylejak i prędko". Hasło to zapanowało nietylko w życiu, ale niestety i w sztuce. Artyści wieków ubiegłych kochali przedewszystkiem swoje rzemiosło. Mowy nie było o dopuszczeniu do sztuki tandety. Trwanie dzieła sztuki obliczane było nie na dziesiątki, ale na setki i tysiące lat. Dlatego obowiązywał szlachetny materjał i najstaranniejsze jego obrobienie. Dziś lepi się z byle czego. Glina, gips, plastelina — a niedługo może miękisz od chleba — to są materjały, w których nie tworzył ani starożytny egipcjanin, ani grek, ani włoch z epoki renesansu. Obecnie — jako że to i łatwiej, i prędzej, i taniej, modeluje się w gipsie, maluje nawet na... tekturze, i wyczynia klejnoty z blachy mosiężnej. (A prochy Praksytelesa, Giotta i Celliniego przewracają się w grobach...).

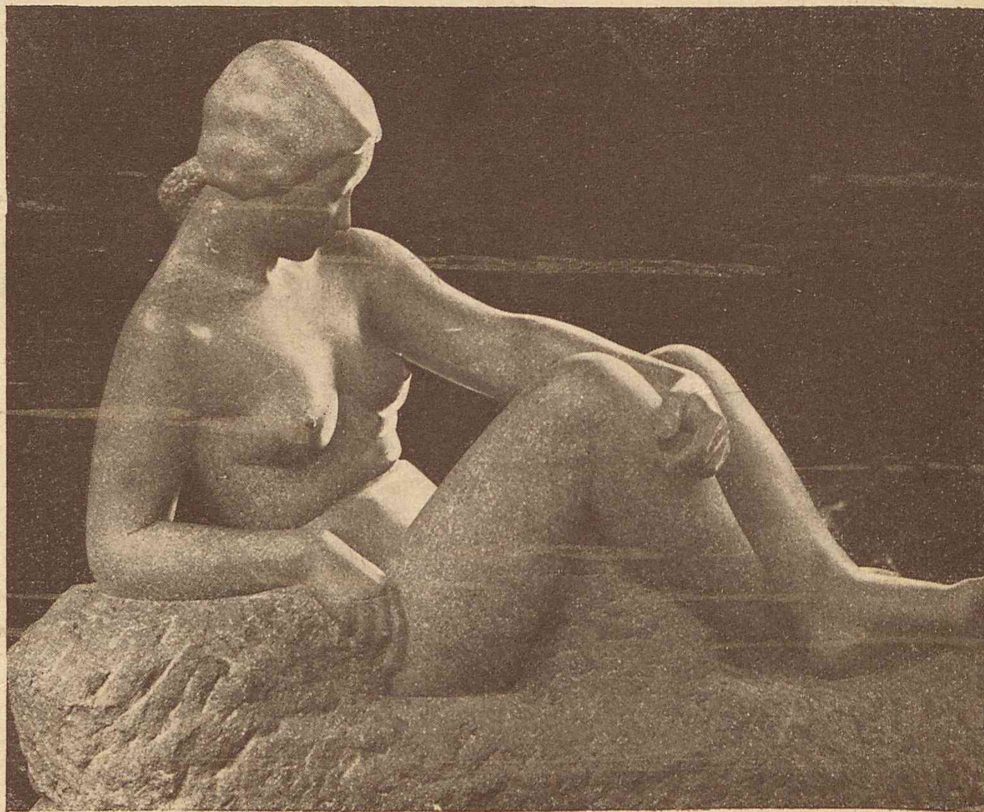
Żaden prawie malarz nie przygotowuje teraz swych farb sam, bo to sprawa za długa i za kosztowna. Żaden prawie rzeźbiarz nie wykuwa własnoręcznie swych dzieł w kamieniu: pozostawia tę ciężką pracę swym pomocnikom. Zanika powszechna dawniej i obowiązująca artystów namiętność do własnego rzemiosła. Wyjątki są bardzo nieliczne. Należy do nich znakomity rzeźbiarz polski zamieszkały w Paryżu, August Zamoyski.

Nie znam tego artysty osobiście. Nie mam pojęcia, czy jest aby, według recepty Szukalskiego, „nisko - krępy". Ale wiem napewno, że jest rzeźbiarzem wielkiej miary. Jest nietylko wspaniałym artystą, ale i wspaniałym rzemieślnikiem — do czego właśnie sam zdaje się przywiązywać wagę bodaj największą.

Krótka nasza rozmowa telefoniczna zakończyła się tak: „Więc jeżeli pani woli obejrzeć moją wystawę sama, bez mojego przewodnictwa — to prosiłbym tylko o jedno". (Tu krótka chwila wahania). „Niech pani **zwróci uwagę na materjał**". Słuchawkę położono. A ja zostałam ze swemi rozmyślaniami — wzruszona. Bo to były słowa niezwykłe.

Właściwie te słowa artysty wystarczyłyby najzupełniej za recenzję. Ale że nie każdy widz ma doświadczenie sprawozdawcy, nie każdy może całe znaczenie tych słów zrozumiał.

Recenzent przywykł już do tego, że malarz czy rzeźbiarz, demonstrujący swoje prace, opowiada kwieciście o wielu rzeczach: o własnej „koncepcji", o tem „jak on to widzi", o „rozmyślnej deformacji" o stylizacji, o



August Zamoyski. „Ewa" (bazalt).

poszukiwaniu formy, bryły, linji, koloru i licho wie czego jeszcze, o idei, o przecinaniu się płaszczyzn, o rytmie linji i powierzchni, i o tysiącu innych rzeczy. Im kto zresztą słabiej tworzy, tem przeważnie efektowniej potrafi podkreślać nieistniejące wartości swej sztuki.

A tu nic. Wogóle ani słowa o tych wszystkich wielkich rzeczach — tylko taka nieoczekiwaną, oszałamiająca w swej prostocie prośba: żeby zwrócić uwagę — na materjał. Taki stosunek do własnej sztuki może mieć tylko człowiek, który przedewszystkiem uwielbia swoje rzemiosło. Z temi myślami szłam do IPS-u na wystawę dzieł Zamoyskiego. I dzieła najzupełniej potwierdziły moje przypuszczenia.

Sztuka Zamoyskiego jest najzupełniej swoista. Jeżeliby szukać dla niej paranteli — to należałoby sięgnąć bardzo daleko. Mianowicie chyba aż do starożytnego Egiptu. Rzeźby Zamoyskiego mają to samo skupienie, tę samą monumentalność (nawet w dziełach niedużych rozmiarów), mają dalej to samo enigmatyczne życie wewnętrzne, utajone, milczące, podskórne — co rzeźby egipcjan. Wcale nie zamierzam wywodzić tutaj drzewa genealogicznego dla artysty, który zresztą — widać to z każdej jego pracy — jest w każdym calu europejczykiem i wchłonął doświadczenie wielu wieków — (nie wyłączając nawet eksperymentów z przed lat dwudziestu). Tę epokę jego działalności — epokę formistyczną — (z której zresztą nie wystawił żadnej pracy na obecnej wystawie) — snoby warszawskie bardzo chętnie przypominają, — że to niby, proszę państwa, dziś klasyk, ale w młodości, ho ho — to był przecież w sztuce rewolucjonista. I skłonni są przebaczyć obecną wielkość „klasykowi" — w imię dawnych zasług z jego Sturm und Drang - Periode.

„Klasyk" tymczasem naprawdę żadnych przebaczeń nie potrzebuje. Jego sztuka ma w sobie spokój i równowagę, ma zdumiewającą doskonałość techniki, ma własny wyraz i świadomą dumę pokonania najtrudniejszych, najbardziej opornych materjałów. Granit, bazalt, dioryt — to ulubione materjały Zamoyskiego. Rzeczywiście materjały, na które warto zwrócić uwagę. Wymagają one niesłychanego opanowania kunsztu rzeźbiarskiego i ogromnej pracy; łamią się na nich zwykłe narzędzia sztuki rzeźbiarskiej, tak że artysta sam sobie przygotowuje dłuta i oczywiście sam kuje bezpośrednio w kamieniu swe dzieła, nie powierzając tej pracy obcym rękom.

Użycie materjałów najtwardszych — których obrabianie częściowo już było zapomniane i zostało dopiero przez Zamoyskiego wznowione — niewątpliwie wpływa na styl jego sztuki. W bazalcie czy granicie niema miejsca na szczegóły — sam materjał wymaga syntezy i uproszczeń formy. To też zarówno głowy jak i ciała ludzkie, rzeźbione przez Zamoyskiego, mają szlachetną wstrzemięźliwość kształtu, która tem silniej potęguje ich piękno i ich wyraz. Jeżeli użyć porównania z inną zupełnie dziedziną — to powiedziećby można, że np. przeciętne rzeźby naturalistyczne, zbytnio szczegółami przeładowane, przypominają człowieka gadatliwego, który nie umie nałożyć hamulców swej jałowej elokwencji. Rzeźby Zamoyskiego zaś — porównaćby można z człowiekiem małomównym, którego każde słowo jest ważne.

Dzieła te są dalekie od taniego zewnętrznego efekciarstwa — dlatego widz powierzchowny powie o nich może, że są chłodne. Kto jednak spojrzy uważnie na zaciętą twarz Wierki, na skupioną głowę Lifara, albo na pełen charakteru portret pani P. — ten uprzytomni sobie, jak bardzo dzieła Zamoyskiego są żywe. Wśród kilkunastu wystawionych prac bardzo piękna jest „Kobieta siedząca", kuta w diorycie (cztery lata pracy...). Niezmiernie harmonijna, klasyczna w swej piękności jest „Kobieta stojąca" (w bronzie). Nie lubię w niej tylko chropowatej, jakby ospowatej powierzchni. (Chyba, że przeznaczona jest do oglądania z bardzo dużej odległości). Cudowna jest płynność linji małej „Femme accroupie" (wolę to nazwać tak, niż według katalogu „Kobieta przykucnięta"). Kuta jest w czerwonym marmurze.

A że mnie zachwyt dla tych dzieł nie zaślepia — przeto wyznam, że gipsowego szkicu postaci Marszałka Piłsudskiego można było wcale nie wystawiać. Bo zupełnie nie dorównywa pozostałym rzeźbom, naprawdę niezwykłym i w swej monumentalnej powadze doskonałym.



A. Zamoyski. Głowa.



A. Zamoyski. Głowa męska (granit).

KRONIKA LITERACKA

Eugene O'Neill — laureat Nobla

W roku zeszłym literacka nagroda Nobla nie została przyznana wcale. To też w roku obecnym oczekiwano wyboru dwóch laureatów. Decyzja Szwedzkiej Akademji była dla wszystkich niespodzianką, a dla Francuzów nawet rozczarowaniem, ponieważ wiele mówiło się we Francji o możliwościach nagrodzenia Pawła Valéry, Edwarda Estaunié i Rogera Martin du Gard. Tymczasem literacką nagrodę Nobla za rok 1936 otrzymał Amerykanin irlandzkiego pochodzenia Eugene Gladstone O'Neill. A nieprzyznana nagroda za rok 1935 (pokaźna suma 159.850 koron szwedzkich) ma powiększyć fundację.

Eugene O'Neill jest dramaturgiem — bezwzględnie jednym z największych i najciekawszych dramaturgów współczesnych.

Urodzony w r. 1888, O'Neill był synem aktora, a zarazem dyrektora wędrownego teatrzyku, objeżdżającego prowincję amerykańską. Już jako dziecko brał on udział w przedstawieniach i zetknął się bezpośrednio z życiem teatru.

Wysłany przez rodziców na uniwersytet w Princetown — szybko go jednak opuścił i — pchany w nieznane przez bujną, nieokiełznaną irlandzką naturę — rozpoczął awanturnicze, pełne przygód życie. Przemierzył wszerz i wzdłuż obie Ameryki, Afrykę, Ocean. — Był poszukiwaczem złota, urzędnikiem, robotnikiem, subjektem sklepowym, kupcem, marynarzem, aktorem i wreszcie reporterem. — Wtedy to podczas pracy dziennikarskiej w jednej z gazet w Connceticut zaczął umieszczać swe wiersze. Niezwykłe, choć dla artystów w Ameryce znacznie pospolitsze, niż dla nas koleje, odbiły się wreszcie na zdrowiu młodego O'Neilla! Rok musiał spędzić w sanatorjum dla chorych na płuca. Jak słusznie zauważył A. Mikułowski (Prosto z Mostu) rok ten spędzany w samotności i spokoju, stał się punktem zwrotnym w życiu O'Neill'a, był dlań taką „île de Saint-Pierre" Jacques de Lacretelle'a, podobnie jak tego ostatniego pobyt w Cambridge.

Opuściwszy Sanatorjum, O'Neill ma przed sobą wytkniętą drogę: powraca do teatru, lecz już nie jako aktor. Przedewszystkiem udaje się na kurs dramaturgji do uniwersytetu w Harvard.

Pierwsze sztuki O'Neilla, to jednoaktówki, tematami przeważnie związane z morzem i życiem marynarzy, przepojone liryzmem i poezją, jak „*Thirst*" (Pragnienie), „*Bound East for Cardiff*" (Kurs na Wschód, na Cardiff), „*The Long Voyage Home*" (Długa podróż do domu), „*The Moon of the Caribbees*" (Księżyc nad Karybami), „*Ile*", „*In the Zone*" etc... Krótkie te sztuki odrazu wykazały zupełne opanowanie techniki przez autora. Wkrótce potem, bo w r. 1920 O'Neill wystąpił z pierwszą dłuższą rzeczą: „*Beyond the horizon*" (Za horyzontem). Sztuka ta została wystawiona w Nowym Jorku, zdobyła wielkie powodzenie i nagrodę Pulitzera dla najlepszego utworu scenicznego roku. Jest to przekrój życia na wsi w Ameryce na wzór Czechowa.—Dwóch braci o przeciwnych charakterach kocha się w jednej dziewczynie. Ten, który marzy o podróżach i przygodach, żeni się i zostaje. Ten, który powinien był zostać, wyjeżdża. — Wraca, nic nie widziawszy. — Kobieta po ślubie spostrzega swą omyłkę. — Mąż jej umiera, marząc o dalekich krajach. — W sztuce tej, podobnie jak w nowelkach Kattherine Mansfield, (która zresztą w tem celowała) autor czyni spostrzegalnemi niewypowiedziane uczucia — stwierdza Claude Berton.

Następne sztuki O'Neill'a posypały się szbko: „*Anna Christie*" (1920, wielki sukces, wystawiona u nas w teatrze Nowym i filmowana z Gretą Garbo, w której bohaterka doznaje wewnętrznego oczyszczenia duszy pod wpływem morza, powietrza i światła). „*The First Man*" (Pierwszy człowiek, 1922), „*The Hairy Ape*" Włochata małpa, 1922 — palacz okrętowy zdaje sobie sprawę ze swej pozycji społecznej dopiero pod wpływem przygodnej opinji eleganckiej pasażerki i zrozpaczony ginie w uścisku swego brata goryla w ogrodzie Zoologicznym), ponura hstorja „*Desire Under the Elms*" (Pożądanie pod wiązami). Wszystkie one odtwarzają w swej formie ekspresjonistycznej podświadomość przebijającą się w dziedzinę konkretnej, sformułowanej myśli; są to sztuki mocne, gwałtowne, wywierające wrażenie potężnego dynamizmu. „*The Fountain*" (Źródło, 1925) wprowadza nas w krainę symbolizmu. Wraz z „*All God's Children Got Wings*". (Wszystkie dzieci Boga mają skrzydła — słowa murzyńskiej pieśni religijnej stanowiące muzyczny refren sztuki, która była wystawiona w Polsce, jako „Czarne Ghetto"), rozpoczyna O'Neill obronę stanowiska czarnych i mieszańców w społeczeństwie amerykańskiem.— Szlachetny murzyn, Jim, żeni się z porzuconą kochanką jego białego kolegi, lecz ta, nieszczęśliwa w otoczeniu czarnej rodziny, nie może znieść myśli, aby jej dziecko miało być dzieckiem murzyna i w przystępie szału popełnia samobójstwo.

„*The Great God Brown*" (1926), to komedja podwójnej osobowości, która grana była przez aktorów z maskami na twarzach, mającemi wyobrażać „konwencje socjalne, paraliżujace ruchy naszej fizjonomii. (Claude Berton, *Nouvelles Littéraires*). „*Lazarus Laughed*" (Śmiech Łazarza), niesceniczna tragedja filozoficzna, powstała w roku 1927, a w 1928— „*Marco Millions*" — ostra satyra przedstawiająca fantastycznego Marco Pola, jako goniącego za groszem businessmana.

Rok 1928 przyniósł również „*Strange Interlude*" (Dziwne Interludium), dzieje jednej kobiety, pomiędzy trzema mężczyznami, istotnie dziwne dziewięcioaktowe dzieło, w którem bohaterzy niezależnie od djalogu wypowiadają szeptem swe podświadome monologi wewnętrzne bez modulacji głosu i gestykulacji. Jest to właściwie zastosowanie do utworu scenicznego powieściowej metody Joyce'a, która starała się uwiecznić w wyrazie zewnętrznym jednoczesność działania i podświadomego nurtu myśli. „*Strange Interlude*" jest rodzajem syntezy naturalizmu i symbolizmu (zdaniem Dr. Wolfganga Kellera i Dr. Bernarda Fehra, krytyków niemieckich).

Ostatnie dzieła O'Neilla'a to „*Dynamo*" (1929) i „*Mourning Becomes Electra*" (trylogja 1930), potężny utwór psychoanalityczny, przenoszący tragedję Atrydów w czasy obecne, stanowiący nawrót do realizmu psychologicz-

nego, jaki cechował całą literaturę dramatyczną około roku 1930. Tylko autor obdarzony wielkim talentem mógł sobie z tak niebezpiecznem ujęciem podobnego tematu poradzić — trylogja O'Neilla osiągnęła wielki sukces.

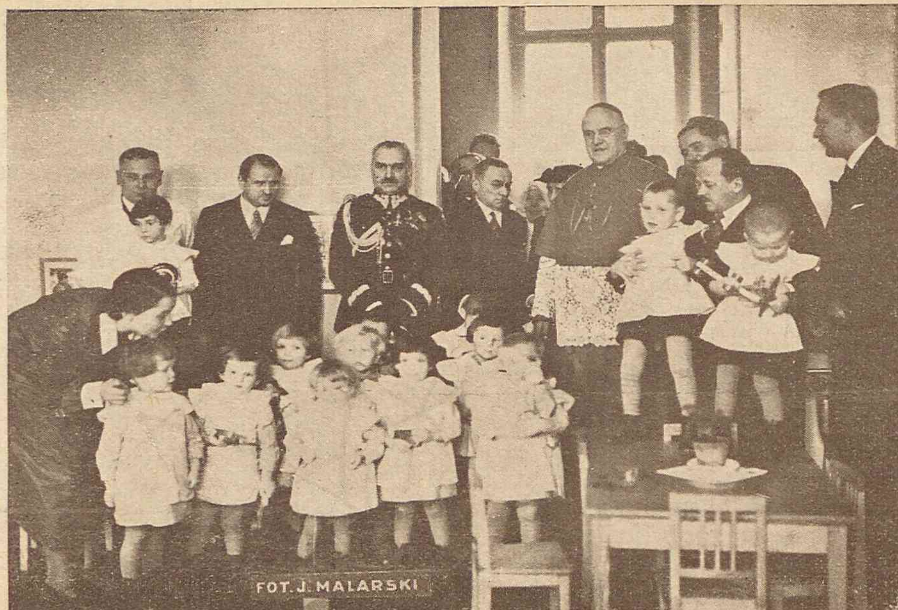
Wielu krytyków charakteryzując twórczość O'Neill'a z okazji otrzymania przez niego nagrody Nobla, zestawia go z ostatnim laureatem Nobla, amerykańskim Sinclair'em Lewis'em, (autorem *Babbitte'a Mainstreet*, etc.) Lewis na wzór Balzaka, czy Flaubert'a malował panoramę „Ameryki tradycyjnej — anglo-saskiej i purytańskiej, pełnej przesądów i kołtuństwa, właściwych prymitywnym osadnikom, którzy stracili już swój dynamizm zdobywczy, a nie wyrośli na tyle, by zbudować sobie bujną, rozmaitą kulturę". (A. Mikułowski) Eugene O'Neill natomiast zetknął się w swem doświadczeniu z inną stroną życia Ameryki, z nowemi prądami, rwącemi wśród świeżo napłyniętej z wielu krajów różnorodnej ludności, jednem słowem z całym potężnym fermentem, imitującym Amerykę na początku obecnego stulecia. Daleki jest on od klasycznego spokoju. Jeśli kto wywarł na niego wpływ, to Ibsen, Strindberg, Synge (muzyczna konstrukcja z refrenem, powtarzająca się nietylko w jednoaktówkach), Conrad i Joyce.

O'Neill w całej swej bogatej twórczości, operującej najrozmaitszemi tematami i formami, starał się dotrzeć do najgłębszych tajników duszy ludzkiej, aby rozwiązać problem człowieka, nie mogącego odszukać samego siebie „pomiędzy nurtującemi go potężnemi namiętnościami, siłami natury — a zewnętrznym porządkiem społecznym".

Jeśli dzięki wybujałej, irlandzkiej fantazji i gwałtownej irlandzkiej naturze, pchającej go do niezwykłości i symbolizmu, czy nawet mistycyzmu, O'Neill próbował dziwnych eksperymentów technicznych, kompozycyjnych, lub myślowych, to jednak w każdym razie z niestrudzoną energją i rzetelnością szukał on nowych dróg dla nowego pokolenia — i niewątpliwie spełnił swój cel artystyczny, który wyraził kiedyś, że chce być „trochę poetą, który stara się odnaleźć zapomocą potocznej mowy nowe rytmy piękna tam, gdzie pozornie żadnego piękna niema".

L. Buyno.

TYDZIEŃ ŚWIATA

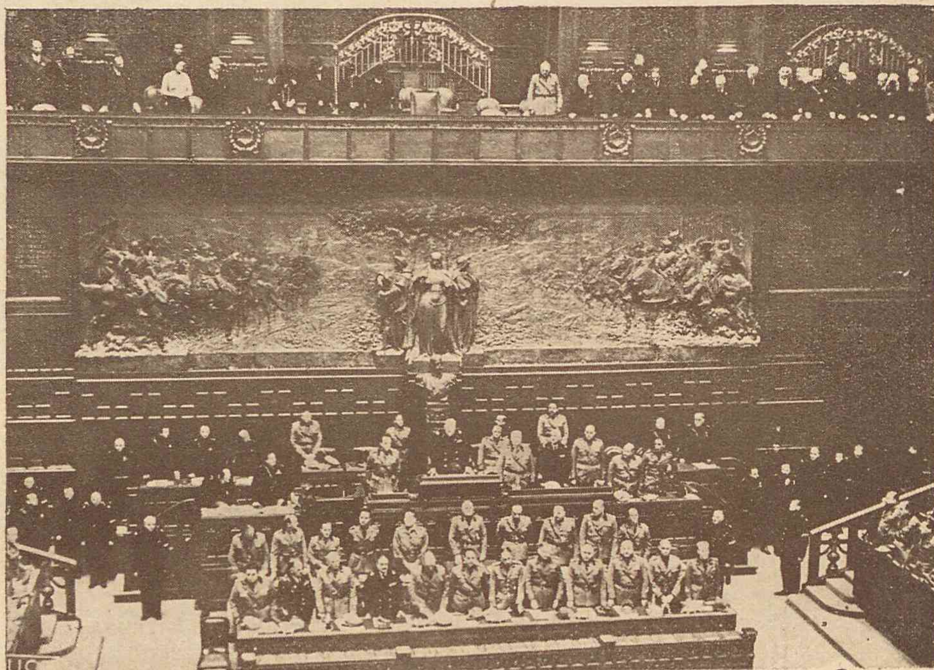


Poniżej:

Rozpoczęcie sesji parlamentu włoskiego stało się wielką manifestacją na cześć Mussoliniego. Z racji szczęśliwie zakończonej wojny abisyńskiej w parlamencie umieszczono płaskorzeźbę, specjalnie wykonaną ku czci Wodza Włoch.

Powyżej:

Dla uczczenia pamięci ks. Boduena, wielkiego jałmużnika i opiekuna instytucyj dobroczynnych, dokonano w ochronce jego imienia uroczystego poświęcenia. Na fotografji naszej widoczni: ks. Kardynał Kakowski, pan premjer gen. Sławoj-Składkowski, prezydent Warszawy min. St. Starzyński, min. opieki społecznej M. Kościałkowski.





Zdjęcie obok:

Podczas swego pobytu w Wiedniu węgierski Naczelnik Państwa v. Horthy w towarzystwie prezesa Miklas'a, dokonał rewji zmotoryzowanej armji.

KALENDARZYK WARSZAWY
Z PRZED ĆWIERĆ I PÓŁ WIEKU

LISTOPAD 1886 ROKU

Już ślizgawka...

„Staw w Ogrodzie Saskim pokrył się dość mocną skorupą lodową. W dniu dzisiejszym rozpoczęto budowę baraków dla łyżwiarzy."

Straszna kalumnia!.

„Pani Green, żona misjonarza anglikańskiego wydała sprawozdanie swoje z pobytu w Polsce, w którem robi uwagi o kobietach, mówiąc, że jest zwyczaj w Warszawie, iż strzygą sobie włosy, jak mężczyźni.

Skąd pani Green czerpała swe oszczercze, niecne wiadomości?

Już wtedy...

Pod tytułem „Posłaniec na welocypedzie" znajdujemy w gazecie następującą wzmiankę:

„Pan H., zamieszkały o półtorej mili od Warszawy w pobliżu szosy grójeckiej, nauczył służącego jazdy na welocypedzie, celem szybkiego komunikowania się z miastem.

Dzięki wszakże nierównej drodze welocyped po upływie tygodnia stał się niemożliwy do użycia."



F. Żmurko. Ze zbiorów Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. *Hetera.*

Artykulik kończy się już wtedy i po dziś dzień aktualnem westchnieniem:

„Gdyby tak drogi były lepsze!..."

Henryk Sienkiewicz w Warszawie.

„Henryk Sienkiewicz, przebywający obecnie stale w Krakowie, przyjechał na kilka dni do Warszawy".

Proces Żmurki.

„W czwartek w jednym z sądów pokoju ma się odbyć sprawa sprowazdawcy artystycznego „Tygodnika Powszechnego" wskutek skargi wniesionej przez artystę malarza Żmurkę.

Artysta, urażony zarzutem, że obraz swój wymalował na fotografji, zapozwał krytyka o potwarz."

LISTOPAD 1911 ROKU

Niewiele się zmieniło...

W jednem z pism codziennych znajdujemy obszerny artykuł p.t. „Jak jeździmy po Warszawie?". Oto kilka wyjątków, dających obraz Warszawy z przed lat 25-ciu:

„Ton, oraz przeważający wygląd naszej lokomocji miejskiej nadają wciąż jeszcze dorożki jednokonne, okazy, których nie śniłoby się nam zazdrościć żadnej mieścinie europejskiej...".

Tak wyraźnie pisano w roku 1911!

„Tramwaje elektryczne otrzymaliśmy znakomite. Tylko taksa wysoka: 7 i 5 kop."

„Widuje się na ulicach Warszawy ..automobile. A jakże! Ale ...40 kop za kilometr. Szast! prast! przeleciało się np. z przed hotelu Europejskiego na plac Zbawiciela. Cztery kilometry rubel sześćdziesiąt kopiejek..."

Już 178 automobilów...

„Wbrew przewidywaniom liczba samochodów w naszem mieście wzrasta. Jest ich obecnie już 178, w tem 48 dorożek taksometrowych, 11 towarowych, pozostałe należą do prywatnych osób".

Co grają w teatrach?

„Popołudniu dla młodzieży w Teatrze Rozmaitości „Urjel Akosta, tragedja Gutzkowa z p. Marcello Palińską, Kotarbińskim, Rapackim.

Jutro: „Panna Maliczewska" Zapolskiej z p. Lubicz - Sarnowską w roli tytułowej.

P. Marja Przybyłko Potocka święciła triumf w nowej sztuce Przybyszewskiego „Gody życia".

W Teatrze w Ogrodzie Saskim „Bęben" z p. Dulębianką w roli tytułowej.

W Nowościach „Cnotliwa Zuzanna" z p. Messal w roli tytułowej".

Gdy nie było Alei Trzeciego Maja...

„Między Nowym Światem a ulicą Smolną w Alejach Jerozolimskich wykonywują pospiesznie roboty betonowe. Jednocześnie odbywa się oskalowanie skarpy wiślanej."

Na wrotkach...

„Sensacja w Panorama Skating Ring, Karowa 18, dziś i codziennie fenomenalna jazda na wrotkach mr. Langworda."

Kar. Beyl.

H. KOROLEC-BUJAKOWSKA

UŚMIECH MORZA

(Korespondencja własna z Indyj).



Zaklinacz wężów

Bombay. Morze błękitne i słońce. Jeżeli jakieś miasto można nazwać uśmiechem morza, to właśnie Bombay'owi dałabym tę nazwę.

Z za załomów handlowych ulic, gdzieś z wnętrza hałaśliwego bazaru napawa oczy błękitem, muska miękkim powiewem breeze. Na promenadzie Calaba, Malabar Hill, wśród wiszących ogrodów, wśród rozwianych palm, w ogrodach pałaców, w norkach ubogich — jest wszędzie.

Promenadą suną szeregi kosztownych maszyn. Konkurs pieniądza. Kto bogatszy, ten lepszy. Nie kolor, nie rasa mają znaczenie w tem nowem mieście — a złoto.

Toną w zieleni ogrodów domy bogatych. One usiadły nad brzegiem morza. A centrum miasta i dzielnice handlowe, jak zwykle szare, stłoczone.

Przed wrotami Indyj, na szerokich asfaltach nadmorskich podejdzie hindus. Tajemniczo oznajmi, że tylko za jedną rupję opowie całą przyszłość i przeszłość z ręki i z horoskopu, podliczając jakieś cyferki. Nim zdąży odgadnąć wiek i powiedzieć parę fragmentów — mdli z tej przyszłości. Zbiegnie się gromadka ciekawych i mamsaab opadną przewoźnicy żaglowych łodzi, by par force wieźć na Elefanty, albo chociaż na spacer do portu.



Fakir z fletem

Chcesz zobaczyć jak mały mangus walczy z kobrą? Warto rzucić parę annah za śmierć kosztownego zwierzęcia. Ten znów w czarnym turbanie czaruje fletem sennego gada. Kobra zmieniła skórę, a tu każą jej tańczyć. Ci ludzie na prawdę są zbyt wymagający. Czyż nie wystarcza ci, przybyszu, ten lud obozujący na ulicy dzień i noc, te krowy, pasące się na trawnikach ogrodów — masz dość koloru, dość egzotyki — daj kobrze spać w koszyku. Kobra jest senna, właśnie zmienia skórę.

Jeden dzień wystarczy, by zobojętniał, zatarł się w oczach widza luksusowy, na modłę europejską modelowany Bombay. Z lokalami hoteli, kawiarni, torem wyścigowym, lotniskiem, wspaniałemi „beach", z całą swą kulturą ostatniej doby.

Na tem tle plastycznie, barwnie odcina się tłum mieszkańców nie domów, a ulicy. Tak jak w polu, w dżungli, na szerokich drogach, z naturalnym wdziękiem małpy hindus spędza cały dzień w mieście.

W nocy i w południe śpi na chodniku, na stopniach schodów, u stóp pomników, na ławkach ogrodowych. Gdzie mu wygodniej i gdzie cień i breeze są przyjemniejsze. Podłoży czasem turban rozwinięty, lub dhoti, by było czyściej, czy wygodniej, na kamieniach chodnika i śpi smacznie.



Bombaj w nocy

Je również na ulicy. Kupi trochę słodyczy od swego kolegi. Jakiś owoc na straganie, lub w koszyku. Czasem rozłoży ogieniek i gotuje ryż w garnuszku.

Pracuje również na ulicy. Biega wzdłuż swojej dzielnicy z koszem owoców na głowie, jakiemiś błyskotkami, grzebyczkami. Drobna, tania tandeta. Czasem ma suszone jaszczurki, lub kwiatek w muszelce. Biega jako kuli, tragarz, lub wcale nie pracuje.

Siedzi na chodniku i rozmawia. Zbiera się wdzięczna grupa pięciu, dziesięciu. Gaworzą w swojem hindostani, zalegając pół chodnika co najmniej. Białe dhoti i jasno-czerwone turbany, jak kwiaty. Beztroski, szczęśliwy lud.

Może są biedni jak myszy kościelne, ale nigdy nie są smutni. Jak można być smutnym pod niebem, gdzie słońce świeci nieustannie, gdzie ulica jest wygodnym hotelem dla wszystkich, gdzie jest tak gorąco, iż prawie nie sposób jeść, a woda jest darmo, ryż i owoce kosztują grosze.

Nad brzegiem morza bronzowe golaski, umorusane małe dzikusy. Nad brzegiem morza, lub u studni „dhobi" pierze bieliznę, bijąc szmatami o kamienie. Mydło i gorąca woda są przesądem białych.

Nad morzem modlą się co rano i biorą kąpiel obywatele ulicy. Czasem pod studnią dla odmiany. Każdy z nich myje palcem zęby. Każdy z nich żuje „pan".

Wśród zakamarków i załomów murów skryły się świątynie. Nie zwraca się na nie uwagi. Zgasły, przyćmione blaskiem bogatych domów — zaginęły w ruchu markietu. Handel, pieniądz jest bogiem.

Na krańcach miasta znajdziesz małe świątynie, takie święte, jak w polu, lub w wiosce. Gdzie siedzą malowani „sadu", gdzie jednak czasami przyjdzie biedny i bogaty złożyć ofiarę bogom, pomodlić się za prochy ojców.

Sprzedawca jaszczurek, lub panu z ulicy i maharadża rozumieją się wspaniale. Zresztą czy może wiedzieć przechodzień, że właśnie mija parjasa, a nie potomka wysokiej kasty, siedzącego z wdziękiem na chodniku.

Gdy już wykąpiesz się w basenach wszystkich plaż, przegrasz dużo pieniędzy na wyścigach, wytańczysz się na dancingach popołudniowych i nocnych w Cornaglia, we wspaniałym Taj Mahalu, gdy promenady i Hornby Road, zresztą całe dzielnice zamieszkałe przez białych, nie będą miały dla ciebie, przechodniu, tajemnic, idź w dzielnice rynku.

Może tam ujrzysz coś nowego. W tem stłoczeniu ulic, ludzi, wystaw, sklepów i małych sklepików, gdy cię opadną tragarze i sprzedawcy uliczni, jak dokuczliwe muchy, krzykniesz ze zgrozą — do licha, gdzie mnie posłano? O, przepraszam cię bardzo, przechodniu, powiedziałam „idź", a nie „jedź". Co za nietakt.

Jedź zamkniętem pudełkiem maszyny. Biały człowiek tam nie chodzi pieszo.

Kolorowe bractwo mieszka na promenadach, szerokich ulicach, gdzie biały chodzi — jest też w pewnej mierze u siebie. Na rynku hindus jest wyłącznie u siebie. Biały jest intruzem.

Wpada zamkniętym wozem. Przedziera się wąskiemi przejściami wśród pieszych. Zatrzyma wóz przed sklepm. Każe przynieść do uchylonej szyby towar. Kupuje albo nie, jak mu się podoba.

Trochę przesady. Gdy ktoś nie boi się otrzeć o nędzę, o brudny tłum — zobaczy więcej, może aż za dużo, ale zmęczy się śmiertelnie.

Rynek—miasto. Niekończące się ulice odrębnych dzielnic. Ulice szewców. Przeróżne sandały, złote pantofelki z haftowanych brokatów — i Bata. Ulice szewców i gotowego ubrania. Tam za parę złotych zdobędziesz kompletny ekwipunek tropikalny. Bożków z bronzu i srebra, klejnotów — cały rynek. Rynek owoców i kwiatów. Rynek połamanych samochodów i starych patefonów. Wyrobów skórzanych. Żelastwa. Czego dusza zapragnie dostaniesz w sklepach, albo u ulicznego przekupnia — który krąży między sklepikami, wskazuje na stopnie samochodów i myśl ci z oczu zgaduje.



Mangus walczy z kobrą

A może jednak masz dosyć w oczach barw, w nosie suchego zapachu krowiego nawozu i hindusa, w uszach piekielnego hałasu i zgiełku, nawoływań, sygnałów wozów i ryku gramofonów. Kurz wżera się w zmęczone płuca. Może jednak chcesz porzucić to wszystko, zwiedzić tylko senny, duży port i barką żaglową wypłynąć na pełne morze.

Księżyc tonie w aksamitnej czerni wody. Każda gwiazda ma swoją srebrną drogę, a latarnie uliczne też topią drżące gwiazdy świateł — i jest jak w Nicy, a może jeszcze ładniej.

Łagodny powiew breeze uderza w żagle, chłodzi zmęczone czoło. Zamiera zgiełk. Fale monotonnie biją o burtę. Wtedy powiesz — śliczny jesteś Bombay'u — uśmiechu morza.



Uliczny sprzedawca jaszczurek

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

Zaraz potem mówił do żony:

— Źle z Margaritą. Więdnie. Ona się kocha w tym Bursie w dalszym ciągu.

— Agostino, pomówmy serjo o tem. Bursa ma dobrą opinję, mój instynkt macierzyński mówi mi, że byłby dobrym mężem. On ją kocha naprawdę. Ja się nie mylę. Byliby szczęśliwi.

— Nie mówmy o tem. Te mieszane małżeństwa między narodami rzadko bywają szczęśliwe. Nie znam Polski, a Polaków znam mało.

— Zarzucasz mu, że nie ma fortuny. Ale ty ją masz. Margarita będzie bogata.

— Fortuny dziś są niepewne. Najpewniejsze były w dawnej Rosji. I cóż się stało? Pewne były w Niemczech. A dziś! Socjalizm narodowy zrobił z właścicieli fabryk tylko „führerów". Własność stała się tytułem bez materjalnego znaczenia, jak tytuły hrabiów czy baronów. Co my wiemy, jak tam jutro będzie w ojczyźnie Bursy?

— A czy my wiemy, co będzie u nas?

— Będzie to, co sami zrobimy... Przepraszam cię...

Wybiegł do swego gabinetu.

Zadzwonił na woźnego.

— Poproś szefa kancelarji.

Za chwilę młody człowiek stanął przed ministrem.

— Proszę mi dziś przedstawić całą ekspedycję wieczorną przed oddaniem jej na pocztę, razem z książką pocztową.

— Przed zakopertowaniem?

— Nie. Po. Tak jak się oddaje woźnemu.

— Słucham pana ministra.

O godzinie 6-ej wieczorem stos kopert leżał na biurku Paoliniego.

„Illustrissima Signorina Marietta Bronzino"...

Kazał sobie podać wodę w rondelku elektrycznym, w którym przyrządzał sobie herbatę, gdy czasem długo w noc pracował.

Gdy para buchała już z kociołka, potrzymał nad nią list córki.

Z przykrością to czynił.

Obowiązek ojca.

Czytał i czytał. Zalepił z powrotem kunsztownie. List poszedł.

I znów rozmowa z żoną.

— Postanowiłem nieodwołalnie. Pojedziesz z Margaritą do domu. Ona tu nie może zostać. Tam będzie miała swoje dawne otoczenie, Mariettę, sama mi mówiła, że bardzo jej brak przyjaciółki. Pobędziecie w Italji jakiś czas. Gdy będziesz się orjentowała, że Margarita jest w lepszym nastroju, wrócicie. Słyszałem, że majora mają odwołać, to się skończy.

— Czy my nie robimy źle, Agostino?

— Nie wiem, moja droga. Czas pokaże. Ale robimy rozsądnie.

— W tych sprawach rozsądek nie zawsze triumfuje.

— Niech resztą kieruje Opatrzność.

Wagon zasypano kwiatami. Margaritę wszyscy kochali. Majora nie było.

Siedział w domu, trzymając zegarek w ręku. Pociąg odchodzi o godzinie 20-ej minut 5.

Jeszcze dwie minuty.

Nie miał odwagi rozmawiać o Margaricie z Paolinim. Zim kłamie. Są sytuacje... Czuł, że Paolini mu odmówi... Gdzie jego miejsce? Gdzie pod słońcem jest miejsce dla niego? Za dwa lata dochodzi do wieku, gdy powinien zostać podpułkownikiem, ale według pragmatyki brak mu tego i owego... Jest żołnierzem, nic innego nie potrafi. Ojczyzny nie zbawi i niema potrzeby. Zim przesadza. Powiększyć liczbę bezrobotnych lub zbierać ogłoszenia dla wydawnictwa nikomu niepotrzebnego... Margarita... Jedyny pion jego życia, marzeń, serca, energji. Za minutę odjedzie. Gdy wróci, jego już tu i takby nie było. Koniec. Nie zobaczy jej nigdy.

Huk. Ciało zwisło przez poręcz fotela.

Na rampie dworca towarowego, gdzie stał wagon, który miał odwieść do kraju zwłoki majora — wobec całego „corps diplomatique", oprócz nuncjusza i Paoliniego, Zim miał mowę.

— Niechże ten wypadek okrutny będzie ostatnim. I niech będzie dla wszystkich nauką jak ewan-

gelja. Że nie można w namiętnościach szukać treści życia, lecz należy je uważać za przeszkodę w życiu, którego ciężar leży gdzieindziej. Że żądze winny być nasycone, jak głód i pragnienie. Że natura ma prawa, których gwałcić nie można. Że serce mówi prawdę, gdy jest prowadzone przez rozum, a bez rozumu jest ślepe. Że sam rozum jest zimny i okrutny bez promyka uczuć. Że rachunek jest dobry w interesach materjalnych, ale nie moralnych. Że wszystko można naprawić oprócz wyzwania rzuconego Bogu. Że człowiek należy nie tylko do siebie i że ciało jego jest tylko narzędziem duszy. Kto nie troszczy się o ulepszenie duszy, zabija ciało. A kto zabija ciało, krzywdzi duszę. Módlmy się za niego, bo nic innego dać mu już nie możemy, a potrzeby jego są dziś większe niż wczoraj.

Biedny majorze! Nie wytrzymałeś próby. A tak blisko ciebie było zbawienie. Otwórzcie wszyscy oczy na świat, przyglądajcie się bacznie temu, co idzie, zarzućcie wszystko, czego was nauczono, szukajcie sami siebie, badajcie, stwarzajcie się ciągle na nowo, wstępujcie coraz wyżej, poznawajcie prawdę, cel, bo idzie próba wielka, która albo podniesie nas, albo zmiecie.

Kochany Burso! Byłeś dobrym żołnierzem, ale nie znalazłeś swojego miejsca. To jest okropne. Za to jesteśmy odpowiedzialni wszyscy my, twoi rodacy. Korzymy się i prosimy — przebacz nam, bośmy nie gotowi. Ale przysięgamy ci, że tragedji twojej nie zapomnimy. Ainsi soit il.

Willy uściskał Zima, Nina winszowała mu, Ray, wracając z nim do poselstwa samochodem, czynił mu gorzkie wyrzuty.

— Mowa pańska, panie radco, głęboko mnie dotknęła, bo była niewłaściwa, nietaktowna i musi pociągnąć niemiłe dla nas obydwu konsekwencje.

— Przepraszam pana ministra.

— To nie pomoże. Prosząc pana o wypowiedzenie mowy — wierzyłem panu. Byłem pewny, że pan powie parę słów o zmarłym, o jego zaletach i więcej nic. Tymczasem pan mówił jakieś aforyzmy, które Bóg wie jak można sobie tłumaczyć. Mowa pana robiła na wszystkich — obserwowałem to — fatalne wrażenie. Po prostu nie wiem, co mam teraz zrobić.

— Najlepiej nic.

— Boję się, że to dojdzie tam, gdzie nie trzeba.

— Jestem tego pewny.

— Ale ja tu jestem za wszystko odpowiedzialny.

— Całą winę biorę na siebie.

— Trzymam pana za słowo.

Zim uśmiechał się w duszy na myśl, co będzie, gdy Ray wysłucha jego odczytu na uniwersytecie.

W parę godzin po powrocie Zima do poselstwa telefonował do niego nuncjusz, winszując mu, bo już od paru osób słyszał treść mowy jego nad zwłokami Bursy. Bardzo pięknie. Wszyscy są pod wrażeniem. Coś niezwykłego. Nareszcie — zamiast nudy, banałów, protokółu — wionęło życiem — choć nad trumną.

Nuncjusz to mówił.

— A widzi pan, panie pośle.

— Zobaczymy co powiedzą nasze czynniki miarodajne.

— Ja już wiem.

— Ja też przewiduję.

Ray był zrozpaczony. Co za skandal! Samobójstwo jednego i taka mowa drugiego!

— Żono, jestem tak zdenerwowany... Poproś parę osób na domowego skromnego brydża...

* * *

Stary Cornelius dał zdumionej żonie portjera hotelowego pudło cukrów, przeznaczone przez syna dla grafini Fermor. Nie uzyskał też bezwzględnej, zaprzysiężonej prawdy co do swojego ojcostwa, bo grafinia była już w grobie, gdy powrócił

do Moskwy. Załatwił więc wszystkie swoje interesy i przyjechał znów do syna. Zapewnił go słowem i licznemi argumentami, że to, co mu powiedział raz — jest absolutnym faktem. Takich rzeczy nie można stwierdzić inaczej, niż zapewnieniem i słowem uczciwej kobiety - matki. A to było — po wielekroć.

Willy jak mógł tak unikał spotkań z Niną. Wykręcał się brakiem czasu, to znów chorobą, którą musiał udawać. Korespondowali przez poste-restante, paląc listy zaraz po przeczytaniu.

Wreszcie nie można już było dłużej bawić się w chowanego. Nina była coraz bardziej zmęczona nerwowo, widać to było z jej listów. Willy teraz z rozpaczą wyczuwał, że ona go kocha. Sam był zbyt opanowany, by to było dla niego tragedją. Chwilami był prawie szczęśliwy, że tak się stało. Trzeba tylko pracować nad tem, by jej miłość zmysłową skierować w inną stronę, przerabiając jej uczucie dla niego na uczucie braterskie, co oczywiście nie było zadaniem łatwem. Nina jego siostrą! No, bo tak jest. Chwała Bogu, nic się jeszcze nie stało. Taka piękna — i siostra! Ale skoro siostra — nie można jej pozostawić, sieroty, na pastwę losu, w sytuacji obecnej.

Gdy wreszcie Nina dnia pewnego otrzymała na poczcie list, w którym Willy zapraszał ją do siebie, bardzo zresztą lakonicznie, co ją nieco zdziwiło postanowiła, że będzie to wizyta decydująca. Nie będzie się dłużej wahała. Niech ją bierze. Ona już nie może dłużej tak żyć. Jest dorosłą, i jak dorosłą, jest niezależną, zdrową, silną, bez żadnych kwalifikacji na trapistkę.

— Co z tego wyniknie? Nie będę się martwiła przed czasem. Może nic, a może coś. Z każdej sytuacji wyjść można cało. Willy jest szlachetnym człowiekiem. Tego była zupełnie pewna. Czego się tu bać! Zim powiedział, że nawet śmierci się nie boi. Czem ona gorsza od Zima. Mamieńka...

— Ach, każdy musi wyżyć swoje życie.

* * *

— Czego u ciebie światła dziś takie przyćmione?

Willy zmienił wszystkie abażury na ciemniejsze. Nie chciał, żeby było widno, jasno, jaskrawo, gdy jej będzie wyznawał rzeczy straszne, bo przecież musi jej powiedzieć i o śmierci matki, skoro z listów Niny widać, że nie ma o tem pojęcia. Rzadko korespondują, czy co...

To będzie okropne, tak wywłóczyć nieboszczkę z grobu i oskarżać ją, że kiedyś zdradziła męża, powiedzieć Ninie, że jest nieprawem dzieckiem swych rodziców, postawić ją wobec tak niezwykłej, nowej sytuacji, nie wiadomo jak ona to przyjmie, co uczyni...

— Już tak dawno nie byłam u ciebie, Willy.

— Nie lubisz nastroju?

— Nie tęskniłeś za mną?

Zapalała papierosa. Willy'emu ręka drżała, gdy jej podawał zapałkę. Nina była pewna, że z krańcowego pożądania.

— Owszem, brak mi cię było. Bardzo cię kocham. Nina upuściła papierosa.

— Coś ty powiedział?

— Spalisz mi dywan. *(D. c. n.).*

CZY PANI WIE, ŻE...

...Francuzi nietylko lubią piękno, ale znają się na niem. Nietylko lubią urodę kobiecą, ale stworzyli, rzec można, coś w rodzaju filozofji urody. Oto słowa jednego ze znawców w tej materji:

Kobieta powinna ubierać się, czesać i maquillować nie poto, aby się wydać **młodszą**, ale poto, aby być **piękniejszą**. Kto chce par force zatrzeć na swej twarzy ślady lat — ten często niestety właśnie je uwydatnia.

*

Mając lat 20 i ładne rysy, może pani charakteryzować się na piękność „seryjną", na typ obowiązujący w danym sezonie. Ale mając lat **dwa razy 20** — musi pani pomyśleć o tem, aby urok młodości zastąpić urokiem własnej indywidualności. Tej indywidualności, którą pani powierzchowność uzyskała przez życie, myśl, cierpienie, doświadczenie, miłość, i radość. **Tego** atutu piękność dwudziestoletnia nie posiada. I dlatego — pociesza z przekonaniem francuski przyjaciel kobiet — niech pani, mając lat dwa razy 20, nie uważa, że jest już „po wszystkiem". I że nie może pani zwycięsko rywalizować z tą, która ma lat 20. Może pani — tylko właśnie zupełnie innemi walorami.

*

Mając lat 20, trzeba się maquillować, aby sobie stworzyć jakiś typ urody. Mając lat dwa razy 20 — trzeba się maquillować ściśle się stosując do swego **własnego** typu urody.

...żeby mieć piękne, zdrowe, błyszczące oczy, trzeba jadać: wątróbkę, szpinak, eskarolkę, pieprz turecki, masło, śmietankę, mleko, i świeży ser, żółtka jaj, i tran.

Pozatem pożyteczne są również marchew, pomidory, banany, kurydza, pomarańcze. Tak stwierdził słynny doktór Galeyford, lekarz gwiazd filmowych. Powtarza on niestrudzenie, że żadne sztuczne środki nie zapewnią oczom piękności. Racjonalna djeta — oto według niego najpewniejsza droga do urody.

...pluskwy, to nie jest „dopust Boży", jak się u nas powszechnie uważa. Pluskwy — to jest poprostu dowód, że mieszkańcy danego lokalu nie dbają o czystość. Bo „miłe" te stworzenia, z któremi np. w Warszawie podobno trzy czwarte mieszkańców stolicy już się najzupełniej „oswoiło" — mogą być wytępione, o ile je rzeczywiście — tępić, a nie hołubić.

Radykalnym środkiem na te najobrzydliwsze insekty jest — dezynfekcja świecami dymnemi. Wyprobowałam to już trzykrotnie w trzech różnych lokalach — i zawsze z powodzeniem. Bo takie już mam szczęście, że nawet luksusowy, ośmiopokojowy apartament także mi poprzedni mieszkańcy pozostawili wraz z... żywym inwentarzem.

„Gazy", jak widzimy, są śmiercionośne nietylko dla ludzi na wojnie. W czasie pokoju nadają się znakomicie do walki z pasożytami. A że zabijają nietylko żywe osobniki, ale i zarodki — przeto naprawdę ten sposób jest najradykalniejszy. Ma jedną wadę: zapach pozostawia przykry — i to na parę tygodni.

Inny świetny środek — nie wiem, czy jest w Warszawie, — to zagraniczny płyn trujący, zwany „Cimex". Kosztuje dużo, pracy wymaga dokładnej — bo trzeba pendzelkiem wsączyć truciznę do każdej szparki w ścianie, za każdą ramę obrazu czy lustra. Ale efekt — murowany. „Giń i nie powstań więcej"...

Trzeci sposób — nasza terpentyna krajowa. Zalewać nią szpary, szprycować z waporyzatora wszędzie gdzie się da i gdzie trzeba. Pluskwy jej niecierpią — i albo zdychają, albo — o co je podejrzewam — zdegustowane niemiłym sobie zapachem — wyprowadzają się.

Sposób czwarty — flitować. To też nie jest tanie, bo czynność tę trzeba powtarzać systematycznie przez czas dłuższy — i w każdym kąciku, w każdym łóżku, szafie, kanapie, etc.

Dlaczego tak się rozpisałam na ten nieestetyczny temat? Bo jedna z czytelniczek słusznie pisze do mnie, że przystępuje do „przedświątecznych porządków" — ale uważa, iż „czyste szyby i firanki, błyszcząca podłoga i świecące żyrandole — to jeszcze nie dość. Że należy stoczyć wojnę generalną — z pluskwami". I pyta, jak to uczynić. Ponieważ czytelniczek z tym samym kłopotem jest więcej — proszę, oto są rady. Wyprobowane. Naprawdę dobre. Ale na to, żeby poskutkowały — trzeba je rzeczywiście zastosować...

...tusza — nie oznacza zdrowia. Raczej przeciwnie. Najlepszym dowodem jest stosunek amerykańskich towarzystw ubezpieczeniowych do osób tęgich. Oto poddano specjalnemu badaniu i ujęto w statystykę śmiertelność wśród kobiet. Okazało się, że na dziesięć kobiet, które w wieku lat trzydziestu są tęgie — tylko sześć przeciętnie żyje do lat 60-iu. Natomiast na 10 kobiet szczupłych w okresie trzydziestki — aż 9 żyje do lat 60-ciu. To najzupełniej wywraca nasze błędne „tradycyjne" poglądy, według których „dobrze wygląda" — czyli zdrowo wygląda — ten, kto jest tłusty. Mniej ciastek, drogie panie, a więcej owoców. Mniej przesiadywania po zadymionych kawiarniach i kinach — a więcej ruchu na świeżem powietrzu. To zdrowiej i na cerę — i na linję.

Dama Pikowa

ALEKSY TOŁSTOJ.

ZABÓJSTWO ANTONIEGO RIVEAU

DOKOŃCZENIE

Michał Riveau zawrócił i poszedł do samotnie stojącego na polanie pałacu „Bagatela", zalanego światłem księżyca. Chciało mu się pić. W bufecie przed pałacem zażądał koniaku. Nina z przerażeniem zobaczyła, jak wypił pięć dużych kieliszków. Wycierając wąsy brudną chustką do nosa, wstrząsnął głową jak od uderzenia, i odszedł od bufetu.

— Po kiego djabła przyprowadziłaś mnie tutaj!

Zamrugała kilkakrotnie oczami:

— Nie wiedziałam, że tu tak wszystko drogo...

— Głupia jesteś! Zapłacić sto franków, żeby patrzeć na to bydło, któremu od dawna trzeba było popodcinać gardła...

Zazgrzytał zębami, wsunął ręce do kieszeni i poszedł po łące. Nina ze smutkiem spojrzała na chmurkę, która zasłoniła księżyc.

„Ah, lepiej było zjeść zwykłą kolację w knajpie — posiedzieć z godzinkę na kanapce i iść spać, aniżeli prowadzić Michała, aby oglądał piękne „kobiety!"

W oddali między drzewami zajaśniała smuga reflektora i oślepiający słup światła oświecił jadowicie zieloną trawę. Niedaleko zajaśniała druga smuga, z daleka — trzecia. Snując się po łące smugi skrzyżowały się w jednym punkcie, — oświeciły gromadkę ludzi w czerwonych surdutach i czerwonych czapkach. Trzymali miedziane rogi i nagle zatrąbili przeciągle i żałośnie starą pieśń myśliwską — zbiórka na jelenia. To był antrakt.

Michał drgnął. W jego oczach zjawił się nieopisany strach. Ale smugi wnet pogasły, umilkli czerwoni trębacze. I znowu nad polaną, nad rozrzuconemi na niej dębami zaczął świecić obojętny księżyc. Od strony jeziora szli widzowie.

Michał patrzył uważnie na idących w tę stronę ścieżki, gdzie w krzakach nawpół zakryte liśćmi przebłyskiwały guziki dwóch mundurów policjantów. Zapytał Niny:

— Nie mówiłaś nikomu, że idziemy do „Bagateli"?

— Nie, powiedziałam tylko stróżce.

Michał szedł ostrożnie w cieniu drzew. Tam stało znowu dwóch policjantów. Odwrócił się. Spokojnym krokiem doszedł do polany. Tu schwycił się nagle obiema rękami za kapelusz i pobiegł schyliwszy się pod gałęziami. Nina krzyknęła żałośnie — „Michał!"

W tej chwili dwaj policjanci o długich wąsach i kamiennych twarzach nachylili się nad nią. Jeden zapytał o jej nazwisko, drugi powiedział:

— Pani jest aresztowana, mademoiselle.

Na śledztwie u sędziego Ninę skonfrontowano z Karolem, który jeszcze w nocy opowiedział w policji o strasznem odkryciu i o swych podejrzeniach.

Zobaczywszy u sędziego młodą dziewczynę, Karol zakrył oczy i wykrzyknął:

— O, to ta, którą tak kochałem!

W gabinecie sędziego śledczego siedzieli reporterzy z bulwarowych dzienników. Nina trzymała się mężnie.

— Ten człowiek — powiedziała wskazując na Karola — ten prowincjał zatruwał mi życie wstrętnemi pasztetami i zabójczą jednostajnością swej miłości... (Nina czuła, że przemawia w tej chwili dla całej Francji). Jestem paryżanką, monsieur, jestem kobietą — byłam nieszczęśliwa. Kochałam Michała Riveau, ale on był biedny. Musiałam poddać się losowi.

Nina rozpłakała się. Odrzucała stanowczo możliwość winy Michała. Karol po raz pierwszy widział ją taką.

— Do djabła — mruknął — do djabła — co za kobieta!

Fotografje Karola, Michała i Niny pojawiły się w gazetach. Słowa Niny, że ona, paryżanka i kobieta zmuszona była zadawalać się wstrętnemi pasztetami i jednostajną miłością — te znamienne słowa obiegły rzeczywiście całą Francję. Kawiarnia, gdzie w przeciągu piętnastu lat Antoni Riveau pił codziennie aperitif, stała się sławna. Właściciel postawił u wejścia drzewa laurowe, a miejsce Antoniego Ri-

veau pod oknem przykrył żałobną krepą. Karol musiał odwiedzającym opowiadać o swej ostatniej z nim rozmowie w wigilję morderstwa, o swej rozmowie z Niną, o swojej obawie wieczorem tego dnia i nakoniec o bytności w mieszkaniu poczciwego Riveau i o strasznym widoku: — trup z poderżniętem gardłem!

— Pan rozumie, monsieur, — kończył Karol — w jakiem byłem niebezpieczeństwie, kiedy zasypiałem po dniu pracy, a ta kobieta leżąc obok mnie obmyślała plan mordestwa? Miała zwyczaj gryźć paznogcie, kiedy leżała w łóżku.

— O? — wykrzykiwał przerażony słuchacz.

— Tak, tak, monsieur, gryzła paznogcie!

Przeszedł tydzień, ale morderca Michał Riveau jeszcze nie był aresztowany.

Michał był w stanie spokojnej wściekłości, kiedy to można podejść do pierwszego lepszego, dobrze ubranego, zadowolonego z siebie przechodnia i przegryźć mu gardło.

O zmierzchu Michał Riveau wślizgnął się przez niską szczelinę sklepiku „Zajęczej Wargi", mieszczącego się w suterynie.

Za sklepikiem było przejście do podziemi kamieniołomów pod starym Paryżem. Michał wszedł do tej izby i zobaczył jakiegoś chudego nieznajomego. Oparłszy łokieć na stole palił on papierosa, pił wino i zmrużonemi oczami patrzył na światełko naftowej lampy. Michał zwrócił się ku drzwiom. Nieznajomy nie śpiesząc się powiedział:

— Może pan spokojnie pozostać. Jestem złodziejem, chce pan wina?

Z za drzwi odezwała się „Zajęcza Warga":

— Nie bój się Michał, to człowiek sławny, jak Wiktor Hugo...

Michał usiadł na trzcinowem krześle, wziął szklankę z winem. Lampka oświetlała zdołu do góry twarz złodzieja, twarz rasową i wybitnie szlachetną: błyszczące oczy o przepysznych źrenicach, podstrzyżone po angielsku wąsy, delikatne wiązania muskułów pod matową skórą, zgrabnie nałożony kapelusz, czarny krawat, płócienna bielizna.

— To pan przyszył starego Antoniego? — spytał złodziej.

— Tak, monsieur, ja.

— Czem?

— Żołnierskim nożem.

— Pan jest dyletantem, drogi panie. Starego trzeba było wypatroszyć na sucho. Pan się zanadto gorączkował. Szkoda. Pańską głowę prawdopodobnie użyją do gry w kręgle...

Ciężki jakiś kłąb podsunął się pod gardło Michała. Twarz mu poszarzała. Złodziej powiedział:

— Opowiadaj pan szczegółowo...

— Wszedłem, stary czytał gazetę w fotelu. Byłem wściekły, tak, ale spokojny. Stary nie pytając o nic, zgniótł gazetę i krzyknął: won! Wtedy zamknąłem drzwi i zażądałem tysiąca franków.

— Pan zamknął drzwi? — zapytał złodziej — z zamiarem?...

— Mówię panu, że byłem wściekły... Odsunąłem dywan, pod którym leżały pieniądze. Stary zapiszczał i rzucił się na odsunięty dywan. Zgubił okulary, czapkę, pantofle... Wypuścił z siebie wstrętny smród...

Złodziej z zadowoleniem strzelił z palców:

— To bardzo denerwuje, wiem... Potem ugryzł pana?

— Ugryzł mnie. Złapał mnie za nogi, żeby mnie przewrócić... Wtedy go zarżnąłem. Wywalił się i zasyczał, jak pudełko ze zgniłemi konserwami...

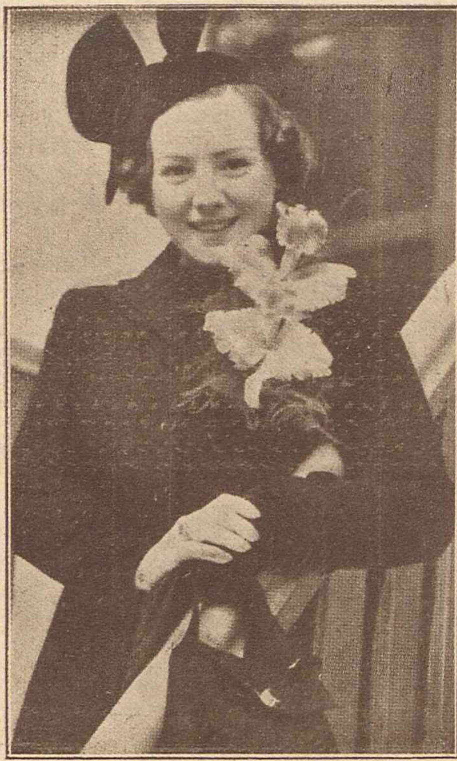
— Kochany panie, może się pan spodziewać gilotyny — powiedział złodziej. Policja nie przebacza podobnego dyletantyzmu. A szkoda...

Michał Riveau chciwie wypił szklankę wina.

— Możnaby pana jeszcze może uratować... jak pan myśli?

— Słucham.

— Winą pana jest to, że pan to zrobił w stanie wściekłości. Jeżeli drogą spokojnego namysłu przyszedłby pan do przekonania, że starego trzeba sprzątnąć... Wtedy — brawo! Pan ma nieopanowaną wolę. Tak. Wojna zepsuła mechanizm ludzki. Chaos jak po tajfunie. Rewolucja! Jakiż to spóźniony romantyzm! Zabawa dla dorastających dzieci! Komuniści, faszyści... Ku-klux-klan. Nudne. Życie straciło siłę magnetyczną. Wojna zabiła smak, dziewczyny zrobiły się zimne jak ryby, wino — kwaśne,



Franciszka Gaal
fot. Paramount.

„Suzy"

Bałtyk

Niesłusznie nazwano dramat Metro Goldwym Mayer filmem szpiegowskim. Etykieta taka, często atrakcyjna kasowo, nie oddaje w całej pełni wszystkich walorów omawianego obrazu.

Widzieliśmy filmów szpiegowskich dużo. Były lepsze i gorsze, były oparte mniej lub więcej ściśle na przeżyciach asów wywiadu, oni byli ich głównymi bohaterami. W „Suzy" element szpiegowski utrzymany jest na bardzo dalekim planie, dodaje jedynie pewnego specyficznego zabarwienia, podnosi napięcie akcji, wprowadza pierwiastek sensacyjności.

Historję pięknej Suzy pokazano interesująco, sfilmowano starannie i przeprowadzono konsekwentnie i z sensem. Płocha, młoda i rezolutna gwiazda kabaretowa o czułem sercu, dużym wdzięku i czarującej prostocie znalazła w jasnowłosej Jean Harlow znakomitą interpretatorkę. Wybuchowy, gwałtowny wamp, przekształcił się pod mistrzowskim ujęciem reżysera (Georga Fitzmaurice) w miłą młodą dziewczynę, przerodził się w toku akcji w uroczą zakochaną żonę i czarującą synową dystyngowanego starszego pana (Lewis Stone).

Poskromienie wybuchowego temperamentu jasnowłosej gwiazdy i stworzenie z niej powabnego, czarującego młodego dziewczęcia, promieniującego ciepłem, czarującego miękkością i prostotą to nielada sukces reżyserski. Bez przesady można twierdzić, że Fitzmaurice odkrył nam nową gwiazdę i to dużo większej jasności niż dawna Jean Harlow.

Przy nowoodkrytym wdzięku, miłym, niewielkim głosie Jean Harlow potrafiła, mimo chwilami dość dwuznacznej roli, zdobyć uznanie i sympatję widowni.

Dzielnie sekundowali pięknej Suzy, Franchotone, młody inżynier angielski, i Cavy Grant, śmiały lotnik francuski. Obaj mieli szczerość odczucia, wykazali zrozumienie i opanowanie roli, i dali w rezultacie wolną od wszelkiej manjery i nieszczerości prostotę.

Scenarjusz zbudowany przejrzyście i logicznie, bez zbytecznego rozmieniania się na drobne i wnikania w nieznaczące szczegóły, unikał nadmiaru komplikacyj, przykuwając uwagę do głównej linji rozwoju akcji.

Celowo przeprowadzony przez reżysera, utrzymany w żądanym napięciu i tempie, rozwijał się przed naszemi oczami prosto i szczerze. Znakomita technika i nienaganne zdjęcia, przy trafnem użyciu ciekawych w pomyśle skrótów pozwalały na otrzymanie interesujących efektów, utrzymywały w odpowiednim natężeniu uwagę i uwydatniały znakomitą, prostą w swym realizmie i prawdzie odczucia, grę aktorów.

Podkład muzyczny dyskretny, kulturalne dawkowanie sensacyjności i ciekawa fabuła powinny zapewnić powodzenie temu mistrzowsko zagranemu i wyreżyserowanemu filmowi.

J.

„Jej wysokość tańczy walca"

Filharmonja

Wiedeńskie filmy mają już u warszawskiej publiczności ustaloną markę, mają pewien *kredyt zaufania*. Takie nastawienie widowni, takie zaufanie jednak obowiązują i na film wiedeński patrzymy już z większym krytycyzmem, pewne błędy i niedociągnięcia bardziej nas rażą.

Osoba reżysera, Maxa Neufelda, twórcy „Csibi" i „Toni z Wiednia" daje pewną rękojmię poziomu. Tem też ostrzej skrytykujemy omawiany obraz.

Prosty, dość banalny scenarjusz operetkowy o świetnym podkładzie muzycznym stwarzał wielke pole do popisu zdolnościom realizatorskim reżysera i pewnym walorom znanych wiedeńskich artystów.

Tymczasem spotyka nas zawód. Hans Jaray, niezapomniany bohater „Niedokończonej symfonji" w roli dość podobnej, utrzymanej w zbliżonym tonie, nie dał z siebie nic. Wielkie możliwości pozostały niewyzyskane. Rola młodego kompozytora Józefa Langera, nieoczekiwanie przeszła możliwości odtwórcy Szuberta. To coś niespodziewanego. Sztywny, mdły Jaray z „Jej wysokość tańczy walca", bezbarwny i bez polotu, pozbawiony mimiki i ekspresji pozostał jedynie względnie przystojną kukłą.

Jego partnerka, nieznana dotychczas w Polsce, Irena Agay, mimo dość przeciętnych warunków zewnętrznych, dzięki miłej, inteligentnej grze, szczeremu cieplu bijącemu od jej młodzieńczej, kształtnej postaci i promiennych oczu, wniosła do obrazu dużo swoistego wdzięku, nienagannej ekspresji i wiośnianego czaru.

Reszta obsady nie wyżej przeciętności. Z przykrością zauważyliśmy zaniedbanie strony komicznej, niewyzyskanie ról charakterystycznych i nudną szarość obrazu.

Zdjęcia plenerowe, mające stanowić ozdobę filmu, nie wyszły. Dźwięk, zmatowany i zgaszony przez niefortunne nagranie, trzeszcząca chwilami aparatura i szereg nieostrych, zamazanych zdjęć nie przyczynią się zapewne do powodzenia obrazu.

Nad program dodatek Pata: poprawnie zrobiona kreskówka Walta Disney'a (biało-czarna) „Skrzydlata eskadra".

J.

„Csibi" w Ameryce

Najpopularniejsza aktorka Europy, Franciszka Gaal, słynna ze swoich sukcesów w filmach: „Csibi", „Piotruś", „Mała mateczka" i szeregu innych, przybyła w tych dniach do Ameryki, gdzie podpisała kontrakt z wytwórnią Paramount. Wytwórnia ta wprowadziła na rynek amerykański cały szereg artystów europejskich, jak np. Marlenę Dietrich, Maurice'a Chevalier'a i Charles'a Boyer'u. Dla Franciszki Gaal wytwórnia ta ma w przygotowaniu specjalny scenarjusz, dający jej szerokie pole do popisu. Popularność Franciszki Gaal w Europie niema sobie równej, jednak w Ameryce jest ona mało znana. Paramount zamierza „wprowadzić" ją za jednym zamachem, dając jej pierwszorzędny scenarjusz, podobnie, jak to miało miejsce z Marleną Dietrich, której pierwszym amerykańskim filmem było „Marokko". Szczegóły obsady i nazwisko reżysera podane będą wkrótce do wiadomości ogólnej.

* * *

Dla ostatniego filmu Freda Astaire'a i Ginger Rogers p. t. „Lekkoduch" zbudowano w studjach RKO największy parkiet taneczny, jaki kiedykolwiek pokazano w filmie. Parkiet ten ma 30 mtr. długości, 20 mtr. szerokości i zbudowany jest całkowicie ze szkła.

* * *

Fredric March, po ostatniej swojej roli Bothwella „Marja Stuart" zaangażowany został przez RKO Radjo do głównej roli w filmie „Saint in New York" (Święty w Nowym Jorku), niesamowitego dramatu, opartego na powieści pod tym samym tytułem Leslie Harterisa. Reżyseruje nowy obraz John Cromwell. Harteris to autor angielski, rywalizujący zwycięsko z Edgarem Wallace na polu powieści sensacyjnej.

* * *

Po wielkiem powodzeniu pierwszego filmu Lily Pons, słynnej śpiewaczki Metropolitan Opera House w New Jarku p. t. „Kobieta zawsze ma rację", wytwórnia RKO zaangażowała Lily Pons do następnego filmu, który ukaże się w roku przyszłym p. t. „Manhattan Girl".



Słynny realizator „Bengali", „Petera Ibbetsona" i „W cieniu samotnej sosny" przygotowuje nowy film z Gary Cooperem w roli głównej p. t. „Souls at sea".
Fot. Paramount.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

ŚWIAT FILMU

Mój przyjaciel Fred Astaire

Poraz pierwszy zetknęłam się z Fredem Astairem w Hollywood na prywatnem przyjęciu w domu Helen Broderick. Jednak, poza kilku słowami przywitania, nie mówiliśmy ze sobą więcej. Już wtenczas jednak zauważyłam jak nadzwyczajnie prosty, szczery i bezpośredni jest Fred Astaire. O jego tanecznych zdolnościach nie wiedziałam nic jeszcze, gdyż prywatnie Fred prawie nigdy nie tańczy. Ani myślałam też w owym czasie, że niedługo będziemy razem pracowali. Ja wtenczas występowałam w pierwszej mojej roli — jeśli wolno to rolą nazwać, byłam mianowicie jedną z „girlsów" filmu „42 Ulica". Fred Astaire zaś pracował obok Jean Crawford w „Tańczącej Wenus". Może i w tym wypadku powiedzenie „obok" jest lekko przesadzone, gdyż i on grał w tym filmie małą, niepozorną rolę.

Niedługo potem w studjach RKO przedstawił nas sobie oficjalnie reżyser Mark Sandrich i zaproponował wspólne nakręcenie filmu. Spadło to na nas zupełnie niespodzianie. Rzecz prosta jednak, że oboje odnieśliśmy się do tego z całym entuzjazmem. I tak powstała najpierw „Carioca", potem „Wesoła Rozwódka", „Panowie w Cylindrach", „Błękitna Parada" i wreszcie obecnie— korona naszej wspólnej pracy „Lekkoduch" (Swing Time).

Trudno sobie wyobrazić przyjemniejszego partnera, niż Fred Astaire. Zawsze do przesady punktualny, zawsze w idealnym humorze, nawet gdy niejednokrotnie trzeba było pracować 10 godzin dziennie. Projektuje on i opracowuje wszystkie nasze tańce. Przy tych tańcach, które mamy tańczyć razem układa on kroki i figury z Hermesem Panem, instruktorem tanecznym studja, który w tych wypadkach gra jakgdyby moją rolę. Po ustaleniu wszystkiego zaczynamy dopiero wspólne próby.

Dopiero przy pracy z Astairem zrozumiałam, że niezależnie od technicznej doskonałości tańca, najważniejszą jest idea i myśl, jakie taniec posiada. Krokiem wstępnym do pracy przy filmie jest dla Freda Astaire'a najdokładniejsze przestudjowanie treści filmu. Zastanawia on się w które miejsca można „wbudować" nasze tańce, tak, by tworzyły one z filmem organiczną całość.

Film „Lekkoduch" opracowany został przez Astaire'a specjalnie starannie, gdyż po czterech filmach poprzednich, w których daliśmy się już dostatecznie poznać szerokim rzeszom, należało dać rzeczy nowe, jakich nie widzieli dotąd w żadnym naszym obrazie. I tak w jednym z tańców, Fred tańczy wraz z trzema swoimi cieniami. Dzięki nadzwyczajnej sztuce operatora cienie te nietylko żyją, ale w pewnym momencie nawet oddzielają się od swojego twórcy i tańczą dalej samodzielnie. Taniec ten wywołuje obecnie, gdy film już ukazał się na ekranach, entuzjazm nawet największych wrogów tańca. Fred Astaire może być dumny ze swojego pomysłu. Ja ze swej strony wiem jedno tylko, że bardzo wątpię, bym podołała wysiłkowi, jakiego wymagał ostatni film, gdyby partnerem moim był ktokolwiek inny poza naszym kochanym Fredem.

Ginger Rogers.



„Proszę o przyjemny wyraz twarzy"— mówi do bohaterów filmu „Czarownica z Salem", Claudette Colbert i Freda MacMurraya, jeden z kolegów. Tak sobie uprzyjemniają przerwy między zdjęciami do tego monumentalnego filmu Franka Lloyda artyści amerykańscy. Film ten już wkrótce sprowadzony zostanie do Polski. Fot. Paramount.



Senior potentatów filmowych ADOLPH ZUKOR obchodzić będzie w styczniu 1937 r. dwudziestopięciolecie swej pracy na terenie produkcji filmów długometrażowych. Fot. Paramount.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona" Warszawa